

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego

w Krakowie, Plac Maryacki L. 9
róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór ekryc damskich i hostyumów bluzek
strajnych i angielskich, Ła strusich i rękawiczek.

Sprzedaż materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA

GASTON LEROUX.

BALAOO

18.

I Zoe znikła nagle z przed oczu doktora, chociaż księżyc jasno świecił. Zdawało się, że ziemia ją pochłonięła.

Po chwili milczenia doktor usłyszał głos Noela:

— Zoel! Zoel! A doktor? Zostawiasz go samego?

— O, jest dobrze przywiązany na sekretny węzeł.

Głos dochodził z pod ziemi, tuż obok miejsca, gdzie siedział doktor.

Przez kilka minut Balao stął nieruchomo, przyglądając się doktorowi, który udawał śpiącego. Przekonany, że więzień śpi, Balao zaczął rozbierać się. Gdy był zupełnie nagi, doktor ujrzał jego nogi i zadrżał: Noel był małpą!

Żeby nie krzyknąć, doktor przygryzł język. Te raz zrozumiał wszystko! Balao tymczasem ucpeł się nogami i zawisł w powietrzu, głową w dół, potem rozbijał się i chwycił rękami gałęzi sąsiedniego drzewa, w taki sposób obiegł całą polankę dookoła, czepiając się gałęzi kolejno, rękami i nogami i wreszcie skoczył na ziemię koło doktora, który wciąż udawał śpiącego. Stał naprzeciw więźnia i patrzył nań w zamyśleniu, wdychając od czasu do czasu, wreszcie wyszeptał:

— Dostę już tych zbrodni.

Balao myślał sobie chytrze, że jeśli uwolni doktora, Magdalena przebaczy mu, że zadusił tamtego. I oto, rozplątał sekretny węzeł i zapominając, że jest nagi, uderzył doktora po ramieniu.

— Hop! — rzekł bez ceremonii.

Wstać! Małpa każe mu wstać! Małpa go uwalnia!

Doktor chciałby wstać, niczego więcej nie pragnie, ale, niestety! nie może. Balao podnosi go, opiera o drzewo i podaje butelkę z winem, pozostała po libacji Vautrinów. Po paru tykach doktor przychodzi do siebie, wyprostowuje nogi i wsparty na ramieniu Balao, robi kilka kroków. Siły powracają. Balao wyprowadza go na ścieżkę. Doktor jest zachwycony. Nie dziwi się już, że ogrodnik Coriolis jest małpą i że ta małpa mówi. Uważa to za zupełnie naturalne. Balao wskazuje mu kierunek, w jakim ma uciekać i odchodzi, nie czekając na podziękowanie.

Wolny! Doktor poczyną biedz, jak szalony. Biegnie tak długo, już musi być niedaleko od drogi. Uratowany! Nagle zatrzymuje go znane mu uderzenie po ramieniu. Odwraca się zdziwiony.

Przed nim stoi Balao.

— Nie mówiłeś mi — rzekł Balao, niemniej zadyszany, niż doktor — że jesteś zakładnikiem.

Doktor milczał.

— Ponieważ jesteś zakładnikiem, musisz wracać.

Doktor patrzył oślepiałym wzrokiem.

— Trzeba wracać! Nie rozumiesz?

Ponieważ doktor nie poruszył się, Balao wziął go na ręce, jak dziecko i w kwadrans później, doktor znalazł się na polance, przywiązany do drzewa i otoczony przez braci, którzy usiłovali mu wytłumaczyć, że gdyby Balao rozumiał, jaką wartość ma dla nich jego osoba, nigdyby go nie uwolnił.

Ale doktor nie rozumiał co do niego mówiono i nie był w stanie zrozumieć nic wogóle. Biedak postradał zmysły.

Tymczasem las zaczął się ożywiać, ponad drzewami przelatywały ptaki, w krzakach, otaczających polanę, słychać było szmery, widać było błyszczące oczy. Las poruszył się, zwierzęta i ptaki uciekały w poplochu. Bracia Vautrin, jako myśliwi, zrozumieli, że przyczyną tego poplochu mogli być tylko ludzie: więc obława rozpoczęła się.

— Tutaj nie dojdą — rzekł Balao.

— Widać, że nie służyłeś w wojsku — odparł Hubert. — Żołnierze pójda tam, gdzie im każą. Niema o czem gadać. Więć dojdą aż tutaj.

— Tem gorzej dla nich — rzekł krótko Balao. Poczem wdrapał się na jedno z drzew. W chwilę później powrócił:

— Uwaga! — rzekł — idą!

ROZDZIAŁ VIII.

Balao broni się.

Od dwóch dni Coriolis nie opuszczał swej wieży. Zbudował ją, by mieć wygodne miejsce do pracy i ucieczkę przed ludźmi, którymi pogardzał.

Teraz zamknął się w swem schronieniu, by cierpieć w spokoju i mózż zastanowić się nad tem, co zaszło. Cierpienie Coriolisa było straszne. Jego wychowanek zamordował sędziego, kuzyna jednego z najwybitniejszych uczonych — zamordował jego wychowanek, jego chluba, jego duma. Z drugiej strony Coriolis kochał Balao, kochał, jak ojciec syna.

Magdalena cierpiała niemniej. Starła się zająć czemkolwiek, ale łzy, wciąż płynące z oczu, przeszkadzały w pracy.

Stara Gertruda nie wiedziała nic o nieszczęściu, jakie zdarzyło się w domu, ale kilkodniowa nieobecność Balao zaniepokoiła ją w najwyższym stopniu. Zwłaszcza, iż od kilku dni zabroniono jej wychodzić z domu, którego wszystkie drzwi były pozamykane starannie.

Tymczasem w mieście działy się rzeczy dziwne i przerażające: w nocy słyszano wystrzały i widziano łunę pożaru. Na drugi dzień Gertruda zobaczyła wojsko i tłumy ludzi, zapelniające drogi.

Wystraszona, zapytała Magdaleny, co to znaczy.

Magdalena odpowiedziała, że to z powodu marności. Ale wszystko to nie było zrozumiałe. Jedno tylko było jasne, nieobecność Balao.

Gertruda próbowała kilkakrotnie rozpocząć o tem rozmowę z Magdalena, ale ta zbywała ją ogólnikami, mówiąc, iż ponieważ Balao uciekł z domu, widocznie nie kocha ich już, więc niema o czem mówić. Gertruda oburzyła się na to przypuszczenie i wyrażała obawę, że stało się jakieś nieszczęście, ale Magdalena przerwała jej ostro i nazwała głupią. Stara sługa obraziła się i powróciła do swych zajęć.

Wieczorem, w dniu, kiedy prefekt rozpoczął obławę na trzech braci, Magdalena kazała Gertrudzie spać w swoim pokoju. Żadna z nich jednak nie zmrzuryła oka. Około drugiej w nocy obie jednocześnie usiadły na swych posłaniach, nadsluchając.

— Czy panienska słyszała?

— Tak, tak, Gertrudo, to on, prawda?

— Słychać od strony lasu.

— Tak, zdaje się, że las wzdycha.

— To zły znak — rzekła wzdychając Magdalena — te odgłosy zawsze mnie przerażają.

Umilkły na chwilę, poczem poczęły się szybko ubierać, otworzyły okno i jednocześnie obie wyszeptały:

— Tak, to on! to on!

W blasku księżyca widziały czarny, tajemniczy las, stamtąd to dochodził ów dziwny, przypominający westchnienie, odgłos.

Szmer ten wzrastał, potężniał, stawał się podobny do odgłosu zbliżającej się burzy. Nagle zagrzmięło tak potężnie, że Magdalena wystraszona jęknęła.

— Boże! co się tam dzieje! Balao nigdy nie grzmiał z taką siłą!

Jednocześnie rozległa się salwa, obie kobiety z jękiem padły sobie w ramiona. Nowa salwa zelektryzowała je, jak szalone wybiegły z pokoju i pę-

dzając na wyścigi, pospieszyły do wieży. „Zabili Balao! Ludzie zabili Balao!”

Z tym okrzykiem wbiegły do kryjówki starego dziwaka, który krążył tam, jak zwierzę w klatce, przebiegając od okna do okna, wygrażając pięściami, zgrzytając zębami. Coriolis zerwał kołnierz, podał ubranie i koszulę i drapał paznokciami obnażoną pierś. Powtarzające się salwy doprowadzały go do szaleństwa.

— Zabijaj go! — ryczał dzikim głosem — zabijaj go! Ach! bandyci! Mordercy! Ludzie!

Nie mógł znaleźć nic silniejszego dla wyrażenia swej wściekłości, zresztą nie starał się wcale. Powtórzył kilkakrotnie: Ludzie! Ludzie!

Czyż to było możliwe? Czy możliwe, żeby zniszczyli dzieło jego życia! Żeby mu zabili dziecko!

Coriolis rwał włosy na głowie. Nie zważał na obecność kobiet. Wychylił się z okna i krzyczał w stronę lasu:

— Śmiało! Śmiało! Balao! Broń się! Uwolnij się od tych ludzi, co idą w tysiąc przeciw jednemu! Śmiało! Balao! Zabijaj! Zabijaj!

Magdalena próbowała odciągnąć go od okna, uspokoić. Napróżno — odepchnął ją brutalnie i dalej krzyczał w noc, przeklinając świat i ludzi. Wreszcie rozplakał się jak dziecko.

Od strony lasu nie było nic słychać. Sprawa była ukończona... Balao musiał zginąć.

Magdalena wzięła głowę ojca na kolana, głaskała go po twarzy, pocieszała.

Od czasu do czasu szeptał: „Skończone! Skończone! Nie zobaczmy już nigdy Balao!”

Wschód słońca zastał ich wszystkich w wieży. Coriolis przypominał sobie, jak Balao lubił tę chwilę, gdy cała roślinność dyszała świeżością, gdy pierwsze ukośne promienie słońca odbijały się w kroplach rosy. Jakże często widywał go, jak rozciągnięty na trawie wciągał odurzający zapach ziemi! Nagle marzenia starego dziwaka przerwała uwaga Magdaleny:

— Jeżeli go zabili — rzekła — to go poznają!

Rzeczywiście! Rzeczywiście! Wielu mieszkańców znało dobrze Noela, poznają go i przyjdą do Coriolisa po wyjaśnienia!

Więc cóż? Da im wyjaśnienia! Powoła się na świadków, którzy znali Noela, na kupców z ulicy Nowej, wreszcie na tych bandytów Vautrinów (Coriolis nic nie wiedział o ucieczce trzech braci). Niech się dowiedzą, kogo zabili! Niech się dowiedzą!

Podczas tych rozmyślań zobaczył wychodzących z lasu ludzi. Szli powoli i zasłaniali sobą coś, czego nie można było jeszcze rozróżnić, ale co wyglądało na nosze. Bez wątpienia niesiono trupa Balao! Po chwili Coriolis poznał idących na czele mera i prefekta, za nimi szli żołnierze i wieśniacy, otaczając nosze, przykryte płaszczem wojskowym. W miarę, jak orszak zbliżał się, można było lepiej rozróżnić szczegóły. Gdy przechodzono u stóp wieży, Magdalena i Gertruda poczęły szlochać, a Coriolis, błady jak płótno, wychylił się z okna, ale ujrzał tylko płaszcz, pod którym odznaczały się kształty ludzkie!

Orszak przeszedł, a z lasu wychylił się drugi, znowu grupa żołnierzy i wieśniaków otaczała nosze, przykryte płaszczem wojskowym... potem znowu i znowu... razem cztery orszaki pogrzebowe!

— O! O! — mruknął Coriolis, któremu zdawało się, że poczyną tracić zmysły. — O! Balao się broni!

Ale to jeszcze nie był koniec. Stopniowo z lasu wychodzili żołnierze, należący do wyprawy, ale w jakim stanie powracali! Za zabitymi ukazali się ranni: było ich około dwudziestu; szli powoli, opierając się na towarzyszach, z rękami na temblakach, z obwiązaniem głowami!

Wreszcie ukazał się ostatni oddział. Coriolisowi wydawało się, że jeden z tej grupy jest mu znany. Tak, poznał go! Był to doktor Honorat. Coriolis patrzył nań w osłupieniu. Doktor, zakrwawiony, śpiewał na całe gardło Marsyliankę!